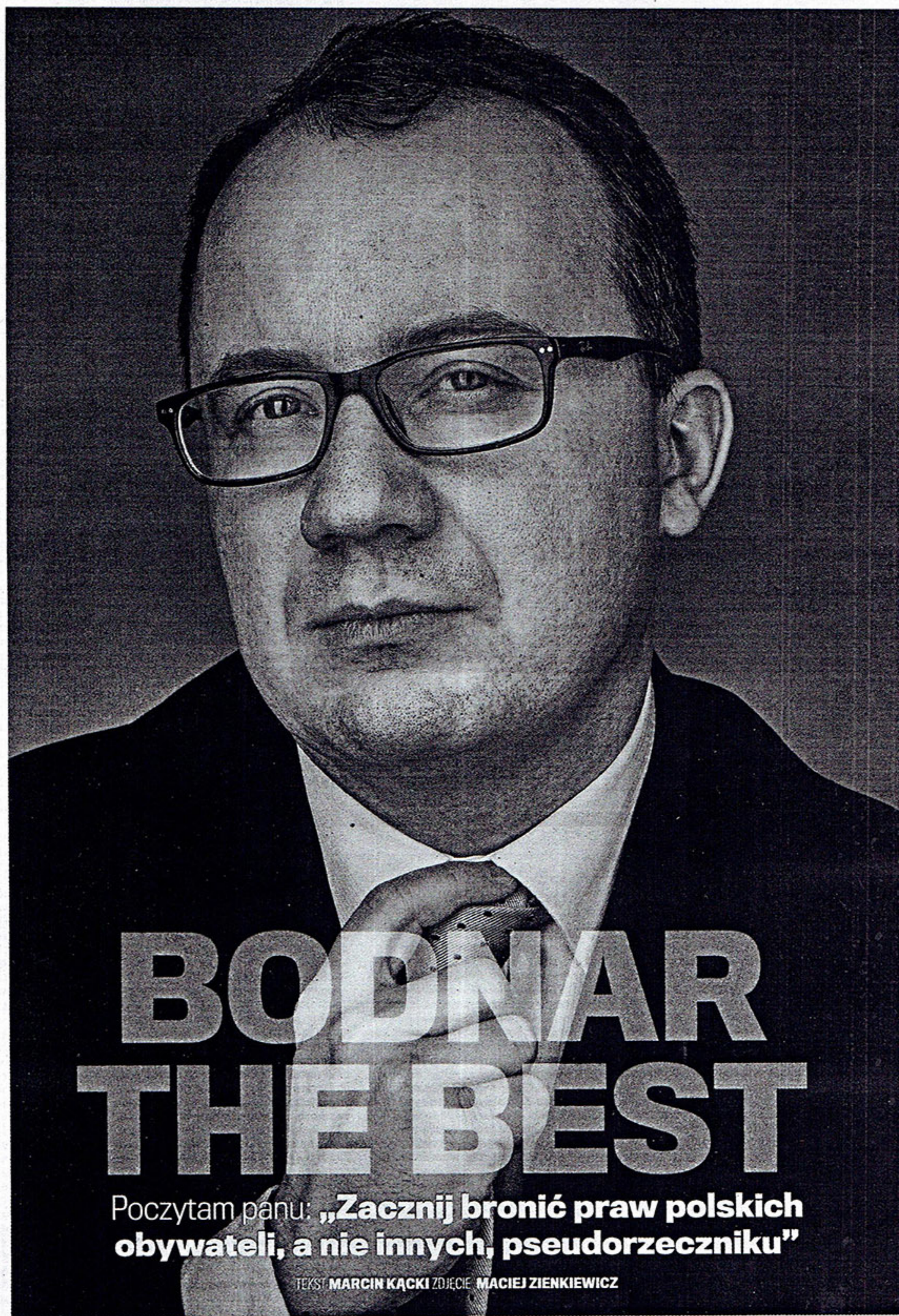


DF O co walczy Adam Bodnar?

CV

Adam Bodnar

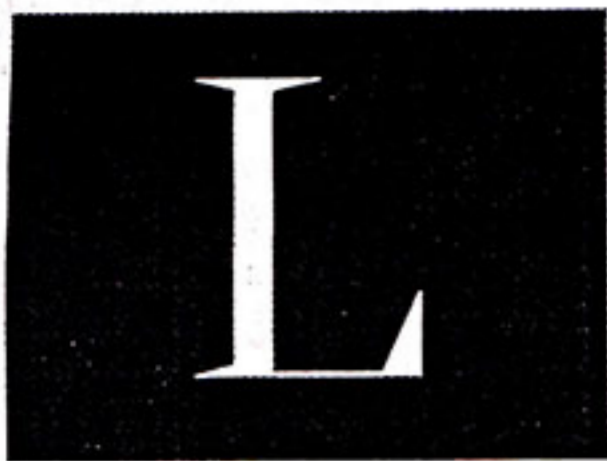
- ur. w 1977,
absolwent prawa
UW, autor publikacji
z zakresu praw
człowieka,
wykładowca,
współzałożyciel
Stowarzyszenia im.
prof. Zbigniewa
Hołdy, wiceszef
Helsińskiej Fundacji
Praw Człowieka,
członek
rady dyrektorów
Funduszu ONZ
na rzecz Ofiar Tortur



BODNAR THE BEST

Poczytam panu: „Zacznij bronić praw polskich obywateli, a nie innych, pseudorzeczniku”

TEKST MARCIN KACKI ZDJĘCIE MACIEJ ZIENKIEWICZ



kowej edukacji, mieszkań, pracy, opieki społecznej. Bodnar tego nie rozumiał, słuchał Jacka Kaczmarskiego o więzieniach, strajkach, ZOMO, czytał Jacka Kuronia.

Podstawówkę i liceum kończy na piątkach i szóstkach. Gdy ma czwórkę, przeżywa to cała szkoła. Kujon? Nie, mówi, dyscyplina i ambicje. Dostaje się w liceum do Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, programu wspierającego młode talenty. Jeździ do Warszawy, poznaje profesorów, którzy dają mu do lektury Ajchylosa, Herodota. Jest pedantycznie zorganizowany, prowadzi kalendarz dnia, gdzie wpisuje nawet oglądanie „Teleexpressu”. Słucha Depeche Mode, gra na komputerze, sportu raczej nie uprawia. Wybiera prawo, bo matka mówi, że musi być konkret, a Krzysztof Ibisz w telewizji, że dobra uczelnia to gwarancja sukcesu.

– Prowadził program „Jeśli nie Oxford, to co?”. To zadziało na moją wyobraźnię.

Studiuje na Uniwersytecie Warszawskim, mieszka w akademiku. Na pierwszym roku współpracuje ze stowarzyszeniem Nigdy Więcej, by walczyć o prawne zakazy działania faszystowskich grup. Zostaje asystentem posła Unii Wolności, ale widzi cwaniaka – to go od polityki odrzuca.

Panie Boże, czy jechać do Budapesztu?

Zanim Bodnar powiedział senatorom, że nie wierzy, chodził do kościoła w Gryficach, a na studiach do warszawskiej św. Anny. Weiaga go młoda żona, którą spotkał na początku studiów. Jest ze Śląska, z pobożnej rodziny. Jej ojciec służy do mszy, rozdaje komunię. W kościele św. Anny Bodnar słyszy głębokie, intelektualne kazania, szczerze się modli, chodzi do spowiedzi. Ale gdy dostaje się na roczne studia na uczelni George'a Sorosa w Budapeszcie, żona mówi mu: ja albo Budapeszt. Wsparcia nie ma także od jej rodziny. Pyta o radę księdza w konfesjonale i słyszy: jechać, wola Boża.

Adam Szafranski, prawnik, znajomy Bodnara ze studiów, spytał go wtedy, czy przystąpi do wydziałowego kółka różańcowego. Wierzący studenci codziennie odmawiali tajemnicę różańca. – Jeszcze niedawno bym się zgodził, teraz już nie – odpowiada mu Bodnar tuż przed rozwodem.

– Bóg był bazą naszego małżeństwa. Moja żona też startowała na uczelnię do Budapesztu, ale się nie dostała. Mocno przeżyłem rozwód, moja wiara wtedy zgasła.

– Pan też był ambitny? – pytam.

– Oczywiście. Przyjechałem z małego miasta, parłem do przodu. Tworzyliśmy związek takich superambitnych gówniarzy.

Jeszcze przed Budapesztem trafia na staż do Weil, Gotshal & Manges, kancelarii prawnej o światowej sławie. Student na garnuszku rodziców dostaje dwa razy większą niż oni pensję.

Siedziba kancelarii jest na 20. piętrze biurowca Warsaw Financial Center. Rozmawiam z Piotrem Tomaszewskim. 15 lat temu był szefem Bodnara. Pochodzi z rodziny prawniczej, doświadczenia zbierał m.in. w kancelarii w Chicago. Wysoki, koło pięćdziesiątki, w markowym garniturze. Uśmiech i spokój wojennego negocjatora.

– U nas albo pływasz, albo toniesz – mówi mi Tomaszewski. – Adam pływał. Był moim łącznikiem w kontakcie z trudnymi klientami, wybraliśmy go spośród kilkudziesięciu ofert, najlepszego z wybitnych studentów. Oferujemy dużo, ale i dużo wymagamy, bo nasi klienci żądają ciągłej dostępności. Nie interesuje mnie, czy jest noc, dzień, czy ktoś jest w domu, czy w teatrze z żoną. Jeśli dzwonię, odbiera i z teatru wychodzi. To obciąża, zwłaszcza młodych prawników. Nie wszyscy to wytrzymują. Jedni są jak zimne jaszczurki, inni mają zbyt dużo empatii i odpadają. Nie jesteśmy jednak bezduszni, mamy wiele projektów pro bono, współpracujemy z Helsińską Fundacją Praw Człowieka.

Trzeba uważać, bo można ciężko pracować dziesięć lat, a po jednym błędzie zniszczyć sobie karierę, reputację firmy, dlatego nie ma tu zbyt dużo miejsca na słabość. Adam idealnie się w to wpałował, był totalnie dostępny, zor-

ganizowany, precyzyjny, szybko się uczył naszych zasad, nie ulegał przesadnie emocjom.

Bodnar: – Nie mogę powiedzieć o Piotrze złego słowa. Pamiętam, robiłem ważne zlecenie, a miałem chorego ojca. Powiedział: jeźdź do ojca, bo do końca życia będziesz żałował, że tego nie zrobiłeś.

Wymienialny

Swoje powodzenie w tamtych latach Bodnar tłumaczy skromnie fartem: – Załapałem się na rozwój rynku, zachodnie firmy były głodne młodych i wykształconych.

W kancelarii Weil, Gotshal & Manges zostaje rzucony na głęboką wodę: program emerytalny dla PZU Zycie, wejście na giełdę PKO BP. Jest cały dla firmy w zamian za pieniądze, rozwój i atmosferę „we are the best”. Gdy dostaje się na studia do Budapesztu, firma płaci mu przez rok studiów, ale podpisuje z nią cyrograf – wróci i odpracuje co najmniej trzy lata.

– Mój rekord pracy w kancelarii – mówi mi Bodnar – to 36 godzin non stop. Po godz. 23 można było zamówić sushi na koszt klienta. Moja godzina pracy warta była 200 dolarów. Mam wtedy kredyt, mieszkanie, nową żonę, rodzi nam się syn – jestem ustawiony, choć mam dopiero 27 lat.

Mam wtedy też poczucie, że zarabiam przesadnie dużo, wydaję na fanaberie, koncerty, płyty. Czuję, że coś mi ucieka. Podczas studiów poznałem prof. Mirosława Wyrzykowskiego, Wiktora Osiatyńskiego, którzy mieli w sobie szczerść i mówili o prawach człowieka – to mnie pasjonowało. I choć prowadziłem z tego zajęcia na uczelni, było to tak daleko od mojej pracy.

Przełomem jest moment, gdy Bodnar po przygotowaniu prospektu emisyjnego PKO BP dostaje kartkę świąteczną od pracownicy banku. Pomyślał, że na kartce mogłoby być nazwisko innego prawnika, że jest wymienialny.

– To o czym pan marzył? – pytam, gdy w nocy do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich zamawiamy dwie pizze.

– By zmieniać świat.

– Skąd to się wzięło?

– Ktoś mi wszczepił. Może prof. Wyrzykowski, Osiatyński, może tam w Budapeszcie złapałem, gdy poznawałem zasady demokracji, transformacji europejskiej.

Była żona Bodnara:

– Ktoś mi powiedział o Adamie: jest tak skuteczny, bo nie ma empatii. Nie wiem. Nie chcę tłuc tego kryształu

Prof. Osiatyński mówi mi: jest taka fundacja. Bodnar coś tam słyszał, ale nie za bardzo. Rzuca kancelarię w 2004 roku, gdy zarabia 200 tysięcy złotych rocznie. Rzuca świat adrenaliny, drogich gadżetów, zachcianek i zamienia na dwa razy mniejszą pensję w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która jest organizacją pozarządową, finansowaną z dotacji.

– W kancelarii uznali mnie za niegroźnego wariata, do dzisiaj mam wrażenie, że niektórzy mnie tak traktują – puszcza do mnie oko.

Tomaszewski: – Byliśmy trochę źli, gdy odchodził. Ale drugiej takiej osoby, która odrzuciłaby nasz świat dla takiej jak on idei, już nigdy nie spotkałem.

Bodnar: – Czasami myślę, że byli źli, bo może sami chcieli to rzucić. Przecież nie są mądrymi. Ale nie mogą, bo adrenalina, bo „pociąg już odjechał”, bo wpadli w kredyty, żal ga-

dzetów, wakacji na antypodach, dobrych szkół dla dzieci.

Obrona Starucha i CIA

Pytam Bodnara, co pchało go do świata pomocy innym, społecznikostwa. Długo się zastanawia. – Na początku, na studiach, byłem raczej technokratą. Bardziej zajmowały mnie procedury prawne niż los ekspedientek w Biedronce.

Ale gdy jeszcze przed fundacją odbywał staż rządowy w Strasburgu i bronił interesów Polski przed roszczeniami obywateli, wiedział, że stoi po złej stronie barykady. – Bo to obywatele mieli rację, im należała się pomoc. Żle się tam czulem.

W Helsińskiej Fundacji tworzy program spraw precedensowych. Zrobił tabelkę spraw do rozwiązania: zniesławienia z art. 212 kodeksu karnego, opresyjne tymczasowe aresztowania, przeludnienie w więzieniach. W kilka tygodni orientuje się, że to jego świat, bo tak wiele do zrobienia. – Czytam skargi, wnioski, spotykam się z ludźmi i widzę bagno jeśli chodzi o prawa człowieka w Polsce.

Poznaje A.M., która straciła dziecko przy porodzie w więzieniu, bo nie przyszedł lekarz na czas, a i tak był nim dermatolog. Barbarę Wojnarowską, matkę dwójki niepełnosprawnych dzieci, której lekarze odmówili badań prenatalnych. Fundacja idzie do Sądu Najwyższego, ten przyznaje kobiecie odszkodowanie. Angażuje do tych spraw rzeszę prawników, którzy pracują pro bono.

Gdy policjant zostaje zwolniony z więzienia, ale ma siedzieć przez weekend, bo poczta nawala, Bodnar chwytą za słuchawkę, dzwoni do dyrektora aresztu – policjanta wypuszczają.

HFPC z Bodnarem wygrywa w Strasburgu sprawę Marszu Równości w Warszawie, którego zakazał Lech Kaczyński. Kilka miesięcy później zakazał go w Poznaniu Ryszard Grobelny. Też wygrywa. Efekt – dziesięć lat później nowe prawo o zgromadzeniach, które odpowiada standardom demokratycznym. Nikt od tamtego czasu nie odważył się zakazać marszu.

Gdy policjant z HIV zostaje odsunięty od służby, Bodnar idzie do Trybunału Konstytucyjnego, wygrywa.

Broni przywódcy kibiców Legii Warszawa „Starucha”. Uznał, że zatrzymanie było „polityczno-prewencyjne”. Ma rację, „Staruch” zostanie uniewinniony, a Bodnar zbierze punkty u prawnicy, która ze „Staruchem” sympatyzuje.

Bodnar pracował w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka dwa miesiące, gdy w 2004 roku na swoim biurku zobaczył CV Dominiki Bychawskiej, studentki prawa. Posadził ją w malutkim pokoju, wyjął komputer i pokazał prezentację programu spraw precedensowych, którymi miała się z nim zajmować.

– Pierwszy raz w życiu – mówi mi Bychawska – zobaczyłam tak profesjonalną prezentację, że jestem tak poważnie traktowana, doceniana. Adam uczył mnie od podstaw. Jeździłam po sądach, szukałam precedensowych tematów. Gdy odeszłam, by dalej studiować, interesował się moim losem, pomógł mi w pracy w Trybunale w Strasburgu, myślał o mnie po powrocie.

Były ciężkie momenty, gdy płakałam, bo był bardzo wymagający, miał szybkie tempo pracy. Widać to teraz – śmieje się Bychawska – gdy został RPO. – W fundacji tempo zwolniło, jest mniej korpo. Skupiamy się na trzech zadaniach, nie dziesięciu, nie ma wyciskania z człowieka każdej kropelki, nie ma telefonów w nocy albo w święta. Bodnar przyniósł świat korpo – marynarki, krawaty, a w innych takich organizacjach są swetry, trampki. Ale to Adam nauczył mnie etyki pracy, dokładności. Nie wiem, skąd bierze paliwo, wolę zmieniania świata. Zobacz, mówił zawsze, gdy wątpiłam w sens jakiejś sprawy, każda taka mała wygrana sprawa to mała zmiana świata.

Bardzo się cieszy z tych małych spraw. Gdy dostał podziękowanie z przedszkola za pomoc w programie integracji z niepełnosprawnymi, powiesił je na ścianie.

Ale największa sprawa HFPC to więzienia CIA. Przeciwko fundacji występują wtedy politycy, nawet dziennikarze, a Bodnar domaga

Lato 2015 roku. Plk Krzysztof Olkowicz dopiero co wyszedł spod pregieryza. Sąd uznał, że złamał prawo, bo jako szef Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej w Koszalinie zlitował się nad schizofrenikiem i zapłacił za niego 100 złotych grzywny, by mógł wyjść z aresztu, gdzie trafił za kradzież batonika. Olkowicz wie, że wyrok, choć publicznie uznany za farsę, kończy jego karierę w służbie publicznej.

Dzwoni do niego Adam Bodnar, którego Sejm głosami Platformy i SLD wybrał właśnie na rzecznika praw obywatelskich. – Przyjmij pan stanowisko mojego zastępcy?

Olkowicz zatkało. Zgodził się bez wahania. Siedzi przed telewizorem, ogląda przesłuchanie Bodnara w Senacie, które ma rozstrzygnąć jego losy. Jeden z senatorów PiS pyta Bodnara, czy jest osobą wierzącą.

– Nie jestem – odpowiada.

To koniec, myśli wtedy Olkowicz, tego mu nie darują. Przeciwko głosuje klub PiS, atmosfera napięta, bo również senatorzy Platformy kręcą nosem, że Bodnar zbyt lewicowy, nie unika tematów aborcji, praw osób homoseksualnych, adopcji przez nich dzieci, in vitro. Jego kandydatura przechodzi dwoma głosami.

Olkowicz dostaje od Bodnara zadanie: sprawdzić jakość życia skazanych, w tym chorych psychicznie. Znajduje prawie sto przypadków jak ten: we Wronkach siedzi niepełnosprawny psychicznie, ojciec trójki niepełnosprawnych dzieci, mąż niepełnosprawnej żony. Groził sąsiadowi, kryminaliście, poszedł siedzieć na cztery miesiące. Olkowicz interweniuje, czeka na decyzję sądu.

Znajduje też kuriozalne sprawy. W więzieniu siedzi 82-latek. Jechał po pijanemu rowerem. Olkowicz odwiedza go za kratami, widzi dziadka, który płacze: wypił piwo, jechał rowerem, dostał grzywnę i zakaz poruszania się rowerem. Niedługo potem pojechał do sklepu, zapakował ziemniaki na rower i prowadził, by było lżej. Policja zawiozła go do aresztu, bo złamał „zakaz prowadzenia roweru”. Olkowicz słucha staruszka, który żali się, że sam łapał złodziei na kolei, że żona mu wcześniej zmarła, dzieci wychował, chciał tylko sobie ziemniaków nagotować.

Olkowicz wychodzi od niego z mokrymi oczami, ale i wściekły. Wróciła mu wiara, że można zmienić system. Idzie zadowolony do Bodnara.

– Sprawdziłem połowę spraw, wiele jest bulwersujących – mówi.

Bodnar z wyrzutem. – Dlaczego nie sprawdził pan reszty?

Olkowicz: – Pomyślałem: facet ma rację. Sprawdziłem wszystkie, okazało się, że większość podchodzi pod łamanie praw człowieka.

Ibisz mówi w telewizji

Rodzina Adama Bodnara ze strony ojca trafiła na Pomorze z Podkarpacia, w ramach akcji „Wisła”. Matka pochodziła z rodziny chłopskiej, wielodzietnej, z Kieleckiego.

– Była urzędnikiem gminnym odpowiedzialnym za PGR-y – mówi Bodnar. – Patriotką, uczciwą osobą, na głowie jeszcze dom i synowie, bo ojciec, zaopatrzeniowiec w spółdzielni transportu wiejskiego, ciągle w delegacjach.

To matka dyscyplinowała go do nauki. Zdyktowana, zasadnicza. Ojciec ciepły, towarzyski. Ale to matka wszczepiła mu kult nauki i pracy. Bodnarowie mieli trochę ziemi – truskawki, ziemniaki, buraki. Pracowała przy tym cała rodzina. Gdy idzie do liceum, spiera się z mamą o PRL, krytykuje system bez wyjątku. Matka broni: awansu społecznego, obowiąz-

DF

O co walczy Adam Bodnar

się ujawnienia informacji o więźniach trzymany i torturowanych przez CIA w Kiejkutach. Wkroczył prokurator, ruszyło śledztwo, pojawili się pełnomocnicy torturowanych.

- Dlaczego było to dla pana tak ważne? - pytam.

Bierze z biurka konstytucję, czyta na głos fragment preambuły. - „Pomni gorzkich doświadczeń z czasów, gdy podstawowe wolności i prawa człowieka były w naszej Ojczyźnie łamane, pragnąc na zawsze zagwarantować prawa obywatelskie, a działaniu instytucji publicznych zapewnić rzetelność i sprawność...”. Albo mówimy wszystko, albo ten zapis jest dla wybranych.

Prof. Maria Frankowska z Uniwersytetu w St. Louis, matka znajomej Bodnara z czasów kancelarii Weil, Gotshal & Manges, jest dla niego intelektualną matką. Opowiada o Bodnarze i patrzy w okno melancholijnie, jakby wspominała jego dzieciństwo.

- Bałam się o niego. Mówiłam - zostaw CIA, to służby specjalne, oni nigdy nie wybaczą. „Nie mogę” - powiedział mi i dalej robił swoje. Nadal jestem pewna, że służby mu tego nie zapomną.

Bodnar, jak mówi Frankowska, jest szalenie ambitny, przez to może rozbija swoje rodziny, ale: „Lepiej zrozumiemy świat, gdy przyznamy, że wszyscy wokół są szaleni” - Frankowska cytuje mi Marka Twaina.

Bodnar rozstaje się z drugą żoną, z którą ma dwójkę dzieci, ale pokojowo. Zauważa później, że łatwiej mu teraz zrozumieć ojców, którzy walczą o opiekę nad dziećmi.

Gdy jeden z mężczyzn nie mógł widywać się z córką, Bodnar poszedł ze sprawą do Strasburga. Wygrał, osobiście zawiózł ojcu list.

- Czytam, a on w płacz. Mówi: „Jak córka będzie dorosła, to zrozumie, dlaczego nie mogłem być jej tatą”. Cholera, do dzisiaj mnie to bierze... - Bodnar ociera oczy.

- Zadziałała ojcowska empatia? - pytam.

- I kryzys, gdy wraca się do pustego domu, pustej lodówki. To dało mi inną perspektywę. Zona popierała mnie, gdy rzuciłem kancelarię, ale i tak coś się popsulo. Zresztą... może pan z nią porozmawiać - drapie się po policzku.

Rzecznik, Strasburg, prezydent

Karolina Bodnar ma własną praktykę prawniczą. Specjalizuje się m.in. w prawie rodzinnym, współpracuje pro bono z Centrum Praw Kobiet i Helsińską Fundacją Praw Człowieka.

- Nie chciałabym tuć tego kryształ - mówi mi z lekkim przekąsem. - Adam ma zaszczyt dobrą prasę, bo to dobry, urzekający człowiek, potrafi bezgranicznie oddać się idei, w którą wierzy. Czym mnie urzekł? Inteligencją, skutecznością działań - jeśli coś zaplanował, nie było siły. Poznaliśmy się na studiach,

pracował jeszcze w kancelarii Weil, Gotshal & Manges, był jej całkowicie oddany, szalenie ambitny. To pewnie po mamie, która była kołem zamachowym, zakochana w synu, wypychała go w świat. Ale Adam, nawet gdy przeszedł do Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, oddał się pracy. Idea pomocy innym wypełnia go, ale nie potrafił dać tego rodzinie. Bywał niesłowny wobec mnie, a bardzo lojalny wobec swojego świata zewnętrznego. Od innych wymagał punktualności, o spotkaniach ze mną zapominał. Przy czym starał się to robić szarmancko, nigdy nie był chamski, wulgarny, ale gdy nie dostawał tego, co chciał, potrafił być nieprzyjemny.

Ktoś mi powiedział o Adamie: jest tak skuteczny, bo nie ma empatii. Nie wiem. Bo... chyba tak dobrze go nie poznałam, a może nie mogłam lub nie umiałam. Niewiele spędziliśmy razem czasu, nie potrafił. Głowę miał ciągle w pracy. Kiedyś pojechaliśmy na dwutygodniowe wakacje, wytrzymał z dziećmi tylko tydzień, wszystko go drażniło. Nie jest narcyzem zapatrzonym w siebie, ale potrafił się obrazić, złapać focha. Czasami lubiłam z niego pożartować, nie cierpiał tego. Nasze małżeństwo rozpadło się, choć próbowałam, dawałam wiele szans. Problemem nie były inne kobiety. Miałam wrażenie, że małżeństwo traktował jak projekt. Gdy już nie chciałam, namawiał: no daj spokój, przecież jest dobrze, nie rozumiem.

Związek rozpadł się z powodu jego całkowitego oddania pracy, idei. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży, nadzorowałam ekipę budowlaną, robiliśmy remont mieszkania. Jak w końcu przyszedł, robotnicy zapytali: a pan do kogo?

Kafelki? Wybierz, mnie wszystko jedno. Wakacje? Tam gdzie wybierzesz. Nie mieliśmy wspólnoty przeżyć.

Jako intelektualista odnalazł się w prawach człowieka, bo jest szlachetny, ale też uważał, że prędzej zrobi karierę w tym temacie. Już dziesięć lat temu mówił, że marzy mu się rzecznik praw obywatelskich, potem sędzia Trybunału w Strasburgu. Mama Adama marzyła, by został prezydentem, a jego brat generałem wojska. W przypadku obydwu jest już blisko. Czy bym na niego zagłosowała, gdyby kandydował na prezydenta? Bez wahania. Ma moralną busolę, szacunek do zasad, pasję. Wszystko totalne.

- Był pan szczęśliwy w drugim małżeństwie? - pytam Bodnara.

- Wiem, że Karolina widzi to inaczej, ale byłem. Długo przeżywałem rozstanie.

- Co poszło nie tak?

Bodnar zastanawia się, patrzy na mapę z kolorowymi szpilkami, która wisi w gabinecie RPO. Choć jest rzecznikiem, od sierpnia zjechał już całą Polskę, wysłuchuje ludzi, zbiera ich problemy, jak ostatnio w Białymstoku, gdy słuchał o mniejszościach wyznaniowych, jak

w Świnoujściu, gdy mężczyzna opowiedział mu o problemach z orzecznictwem chorób zawodowych. Cały czas w drodze, w samochodzie, w pociągu albo w biurze.

- Nie wiem, kochałem, jak umiałem.

5.47, SMS od rzecznika

Prof. Monika Płatek mówi mi z przymrużeniem oka, że były dwie kandydatury, które najlepiej nadawały się na stanowisko rzecznika praw obywatelskich: jej i Bodnara. Ale przyznaje, że Bodnar ma nad nią przewagę: nie czekał na poparcie, zgłosił się i poddał ocenie organizacji obywatelskich. - To nie człowiek, który leci na stanowisko. Znam go, pracuję z nim

Znajoma Bodnara:

- Sprawa Kiejkut. Bałam się o niego. Mówiłam - zostaw CIA, to służby specjalne, oni nigdy nie wybaczą.

„Nie mogę” - powiedział i dalej robił swoje

na uczelni. Ma ambicje, ale i dużo pokory. Prof. Ewa Łętowska zapoczątkowała okres, gdy rzecznik nie był lubiany przez władzę, Bodnar będzie to kontynuował.

- Czy pani rozumie, dlaczego porzucił świat wielkich pieniędzy, władzy? - pytam.

Płatek jest pytaniem zdumiona: - Ależ Bodnar porzucił miraż!

Gdy Bodnar zostaje rzecznikiem, zaczyna od wielkiego spotkania z blisko 300 osobami w wynajętym kinie. Łączy się telekonferencyjnie z biurami terenowymi, na ścianie pokazuje prezentacje o reformach biura. Do RPO, podobnie jak wcześniej do HFPC, wjechało korpo.

Polecenia od Bodnara w biurze idą od rana Facebookiem, mailem, SMS-em. Pracownicy prowadzą codzienny ranking: kto otrzyma najwcześniej, tego sprawa jest najważniejsza.

Andrzej Stefański, dyrektor projektów regionalnych w biurze RPO, dostał o 5.47: „Jest sprawa hejtu Joanny Grabarczyk. Proszę spojrzeć na jej profil. Niefajnie się z tym czuję, trze-

ba coś zrobić”. Jeśli SMS przychodzi dopiero o 7.00, sprawa ma niski priorytet. W sobotę o 6.00 rano pracownicy otrzymali maila, by zająć się sprawą mężczyzny, który żyje z synem w trudnych warunkach, pisze o tym sobotnia gazeta lokalna w Gdańsku. Stefański w głowę zachodził, skąd Bodnar o tym wiedział, bo przecież był na konferencji w Hiszpanii. O godzinie 23.50 w sobotę Bodnar dostał odpowiedź: odwiedziliśmy go, nawiązaliśmy kontakt z urzędem.

W ciągu kilku dni w styczniu twittował, esemesował o: uregulowaniu statusu mieszkań na gruntach spółdzielczych, zmianie prawa dotyczącego stwierdzenia zgonów, związkach zawodowych dla pracujących na śmieciówkach, odszkodowaniach dla osób represjonowanych za działalność po 1946 r., niepełnosprawnych w więzieniach, dzieciach chorych na dyskalkulię, które nie są w stanie uczyć się matematyki.

Ma dziesięć osób, które zajmują się skargami kasacyjnymi, przeglądają blisko 3 tys. spraw. Bodnar chciał więcej ludzi, ale PiS właśnie mu zabrało 3 mln zł z 38 rocznego budżetu.

- Ma pan jakichś przyjaciół w PiS? - pytam.

Patrzy w sufit: - Miałem jednego profesora, miły człowiek, ale w Senacie mnie atakował.

Otwiera komputer. - Nie widziałem jeszcze za mojego życia takiej nienawiści. Poczytam panu: „Zacznij bronić praw polskich obywateli, a nie innych, pseudorzeczniku”. Jest imię, nazwisko piszącego, widzę, że mieszka w Kielcach. „Nie chcę być obywatelem takiej Polski, w której taki jak pan działa, sram na nią, bo przez 50 lat takie bydlaki, świny okradają naszą Polskę. Niech ta mużulmańska banda obecninie wam wasze lby i zgwałci wasze dzieci”. Jest imię, nazwisko, zdjęcie, są znajomi.

Na portalu, który ma w nazwie „christiana”, czytam, że Bodnar daje „posłuch lewackim podszeptom”. Ale próbuje mediować także w Kościele. W Poznaniu jest na spotkaniu z anarchistami, następnego dnia idzie do arcybiskupa.

Szykujemy się do wyjścia z kancelarii przed 22.00, rozjedziemy się metrem. Bodnar, gdy może, zostawia służbowy samochód. Nie chce, jak mówi, zepsuć się przywilejami. Zgodził się poświęcić mi pół dnia, choć innego związał się wcześniej, by odebrać synów ze szkoły.

- Aha, w czerwcu się żenię - mówi z uśmiechem.

Przysiada na krawędzi fotela, przeprosza, bo jeszcze wysłała w nocy SMS-y do pracowników, zadania na następny dzień. Zaciska zęby: - Cholera, no, spokoju mi nie daje, że nie damy rady sprawdzić tych 3 tysięcy spraw z kasacjami. Przecież gdzieś mogą siedzieć ludzie niewinnie skazani. DF